№ 23. WARSZAWA, 18 SIERPNIA 1906 R. ROK I.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

PRENUMERATA:

w Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
z odnosz. do domu r. k.		Rocznie	9 —
Rocznie	7 60	Kwartalnie . . .	2 25
Kwartalnie . . .	1 90	Numer pojedyń. .	— 15
Miesięcznie. . .	— 65	Za zmianę adresu	— 22
Numer pojedyńcz.	— 15		

PRZEGLĄD SPOŁECZNY WYCHODZI CO SOBOTA.

Adres Redakcji i Administracji

Wiejska Nr. 15.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście k. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz

Administracja otwarta od 10 do 5—prócz świąt

W interesach redakcyjnych porozumiewać się można od 3-ej do 4-ej.

DROBNE RĘKOPISY NIE ZWRACAJĄ SIĘ.

Szanownym Prenumeratorom przypominamy, że czas odnowić przedpłatę na następny kwartał.

Propozycja i odmowa.

Między przedstawicielami polityki realnej i narodowej demokracji w dniach ostatnich dokonała się charakterystyczna wymiana zdań, rzucająca światło na stanowisko dwu tych stronnictw wobec wypadków bieżących.

„Słowo“, stwierdziwszy zupełną bezsilność rządu w opanowaniu ruchu rewolucyjnego i towarzyszących mu objawów anarchji, bandytyzmu, braku bezpieczeństwa publicznego, wniosek stąd wyciąga, że jedynem możliwem obecnie dla rządu wyjściem z położenia jest odwołanie się do społeczeństwa, oddanie władzy w ręce jego, a w szczególności w ręce grupy najlepiej zorganizowanej, a bynajmniej nie rewolucyjnej — jaką jest narodowa demokracja.

Dotąd politycy realni wszystkie rachuby swoje opierali na sile rządu, od niego spodziewali się zmian i reform, dla kraju korzystnych, i wmawiali wszystkim, że osiągnięcie celów tych możliwe jest i w pewnej części nastąpiłoby już niewątpliwie, gdyby nie wichrzenia różnego pokroju i miary warchołów, do których zaliczano i narodowę demokrację. Ostatnie przemówienie organu polityki realnej znamionuje radykalną zmianę zapatrywań, a jednocześnie abdykację stronnictwa. Skoro rząd tak jest słabym, iż nawet elementarnych warunków porządku i ładu nikomu zapewnić nie może, jakie są szanse tych, którzy swoje zdobycze, przyszłość swoją opierali na życzliwości i sile tego rządu — nie na walce, na nacisku na rząd ten wywieranym, ale właśnie na jego dobrej woli i jego zdolności działania, ustępowania lub nieustępowania, dawania tego i tyle, ile zechce, i kiedy zechce, i właśnie—w takim zakresie i duchu, jak to dogodnem i pożądanem było dla żywiołów, pod znakiem polityki realnej dotąd występujących? Oczywiście szanse te schodzą do zera. Jakoż wystąpienie „Słowa“ jest z punktu widzenia polityki realnej, czyli ex-ugodowej, otwartem ogłoszeniem bankructwa i abdykacją. Realiści abdykują na rzecz narodowej demokracji: A cóż na to narodowa demokracja?

W „Dzwonie Polskim“ p. Dmowski z zadowoleniem przyjmuje do wiadomości oświadczenia „Słowa“, ale co do samej propozycji wzięcia na siebie przez narodową demokrację przywrócenia „porządku“—w imieniu stronnictwa daje odpowiedź odmowną, a raczej wymijającą i warunkową: „narodowa demokracja, pisze p. D., istotnie nie jest stronnictwem rewolucyjnem“; ale stąd nie wynika, iżby miała ona sprzymierzyć się i iść ręka w rękę z rządem obecnym; mogłaby to uczynić tylko pod tym warunkiem, iż rząd wyrzekłby się dotychczasowego stanowiska, zmienił system, wszedł na drogę tych reform, jakich pożąda nar. dem., przedewszystkiem, gdyby dał krajowi autonomję.

Wobec tego, cośmy dotychczas od narodowej demokracji słyszeli i doświadczali, odpowiedź ta może się na pierwszy rzut oka wydać dziwną; ale w gruncie rzeczy jest zupełnie zrozumiałą i zgodną z całą taktyką stronnictwa.

Nie raz jeden już z kół narodowej demokracji z organów jej prasy wychodziły pod adresem rządu głosy, wyrażające gotowość współdziałania z nim i pomagania mu w stłumieniu „anarchji“. Już z półtora roku temu „Słowo Polskie“ nawoływało społeczeństwo w Królestwie, ażeby pozbyło się skrupułów i uciekało się o pomoc do policji przeciwko socjalistom; ponieważ policja i bez tego socjalistów tropiła i prześladowała, szło więc o to, żeby „społeczeństwo“ policji w tej robocie pomogło. „Kurjer Warszawski“ ofiarowywał swoje usługi organom porządku i obiecywał bardzo prędko uporać się z wszelkimi strejkami i zaburzeniami, pod warunkiem tylko—było to jeszcze w okresie cenzury prewencyjnej — że daną mu będzie swoboda pisania i oddziaływania przeciwko „burzycielom porządku“.

Od tego czasu „nieporządki“ ogromnie wzrosły, rząd mniej jeszcze niż przedtem zapobiegać i tłumić je jest w stanie, „Kurjery Warszawskie“, „Dzwony“ i sto-

jący za niemi ludzie mogą pisać przeciw „burzycielom“ wszystko, co im się żywnie podoba — i mogliby całą akcję przeciw nim rozwinąć—i nie chcą.

A właśnie dlatego nie chcą, że stosunek sił się zmienił, że stosunek ten odwrócił się, a przynajmniej zrównał, że „żywioły anarchji“ stały się względnie silne, rząd — względnie słabym.

A narodowa demokracja w tym stosunku zajmuje stale stanowisko *tertii gaudentis* — tego trzeciego, który cieszy się i korzysta. Dwie strony zmagają się z sobą: rewolucyjny żywioł społeczny i rząd. Każda z nich walką osłabia się do pewnego stopnia, czegoś się wyrzeka, coś zaniedbuje, jakieś pole opuszcza. Narodowa demokracja stoi z boku i chwyta, co się da, przygląda się pilnie i każdemu z przeciwników wydrzeć usiłuje to lub owo w chwili sposobnej. Ochłapy ustępstw i „reform“, od czasu do czasu przez rząd rzucane, łapie skwapliwie i natychmiast je zużytkowuje dla swoich celów. Udaje jej się to tem łatwiej, że druga ze stron, rewolucyjny żywioł społeczny, pochłonięty walką, z konieczności wiele pól zaniedbuje, wszystkie swe siły w innym kierunku wytęża i zużywa. A więc narodowa demokracja zorganizowała wybory i przeprowadziła masowo swych kandydatów, zajmuje jeden po drugim posterunki kulturalne, tworzy Sokoły, Macierze i t. d.

I tak korzystnej dotąd i nadal obiecującej pozycji miałaby się nagle wyrzec narodowa demokracja, na propozycję „Słowa“: objęcia władzy w celu zaprowadzenia porządku? A jej to po co?

Na propozycję, publicznie uczynioną, trzeba odpowiedzieć, więc nar. dem. odpowiada, ale wykrętem, który przecież nikogo w błąd wprowadzić nie może. Niech rząd ustąpi, niech da autonomję, to wtedy my zaprowadzimy ład w kraju i potrafimy go utrzymać.— Politykom nar. demokratycznym nie możemy przypisywać tak wielkiej naiwności, iżby istotnie spodziewali się, iż rząd, sam uznawszy swą niemoc, da z dobrej woli wszystko, czego od niego narodowi demokraci żądają, przyjdzie do nich i powie: zrobiłem, coście chcieli, teraz wy rządźcie. Możemy myśleć o narodowych demokratach, co kto chce, ale nie możemy i niepotrzebujemy przeciwników swych uważać za głupszych, niż są rzeczywiście.

Więc przypuszczenie to zgóry wyłączyć należy. Jest tu co innego. Kiedy ruch wolnościowy był w zaczątku, żywioły rewolucyjne dopiero się budziły i skupiały, rząd pozornie niezachwiany—narodowi demokraci gotowi byli do usług dla tego rządu. Zdawało się, iż, oświadczywszy się po stronie „porządku“, można było dużo zyskać, a nic się nie ryzykowało. Dziś inaczej, przebieg wypadków omylił te przewidywania, narodowa demokracja przystosowała się do nowego układu sił, i zajęła to stanowisko właśnie, jakieśmy scharakteryzowali, i z jakiego zejść niema żadnego powodu. Przeciwnie. Walka dotąd trwa, rezultat ostateczny niewiadomy, przyszłość niepewna. Trzeba się zachować wyczekująco, brać co można, ale na żadną stronę nie angażować się w sposób, któryby nie dał się odwołać ani zaprzeczyć.

Jeżeli zwycięży rząd,—narodowa demokracja przypomni, co mówiła nieraz, i co teraz odpowiada p. Dmowski: „Narodowa demokracja nie była nigdy stronnictwem rewolucyjnem“, ona tylko „pokojowo“ pracowała, tylko „przedstawiała“ co i gdzie należy.

Ale może zwyciężyć ruch wolnościowy, rząd może ustąpić zupełnie lub w dużej mierze, do władzy przyjść mogą dzisiejsze żywioły rewolucyjne. Demokracja Narodowa przygotowuje się i na to: prawda, nie była ona rewolucyjną, ale też nie stawała po stronie rządu, oto tamci „ugodowcy“ namawiali ją nawet do tego, ale ona nie — z takim rządem ona łączyć się nie chciała, ona „także“ była anti-rządową.

Takim jest sens rozmowy, między realnemi politykami i narodowemi demokratami przeprowadzonej, i taką w położeniu obecnem taktyka narodowej demokracji.

Zadaniem będzie żywiołów wolnościowych, ażeby taktyka ta w ostatecznym rezultacie nie okazała się zbyt owocną.

J. Wl. D.

Sensacje w socjalizmie.

Burżuazyjna prasa europejska, nie mówiąc już o tak z całej natury swej przystosowanej do gapiostwa i plotkowania, jak nasza narodowo-pipidowiecka, ma nowe gaudjum.

Kryzys w socjalizmie.

Po Bernstejnie — Bernard Shaw — a obok tego żółta armja zbawienia, a obok tego całe legjony znużonych, zblazowanych, przeżywających się feljetonistów— niema co, socjalizm się przeżywa, kończy.

Poczciwa i niepoczciwa prasa burżuazyjna cierpi na jedną i tę samą wadę, czyniącą wszystkie jej ex re „kryzysów w marksizmie“ „socjalistycznych przesileń“ — etc. — radości i tryumfy nieskończenie śmiesznemi— oto absolutna i rzetelna niezdolność rozumienia, o co idzie.

Prasa mieszczańska i cała psyche mieszczańska nie jest w stanie zgoła zrozumieć stosunku partji socjalistycznych, i literatury socjalistycznej—do istoty samego ruchu. Wydaje się jej nieustannie, że partje i literatura to są przyczyny, ruch zaś skutkiem.

To też bardzo powierzchownym choć hałaśliwym, i tem hałaśliwszym, im są powierzchowniejsze, wypadkom w literaturze i życiu partji socjalistycznych przypisuje jakieś dziwaczne, mitologiczne znaczenie.—Natomiast nie dostrzega z zasady i niezdolna jest dostrzec opinja burżuazyjna bardzo poważnych i zasadniczych zmian w samej istocie ruchu.

Prasa warszawska w ostatnich czasach bardzo gorliwie się zajmuje kolportowaniem wszelkiego rodzaju skandalików socjalistycznych. Przytem korzysta swoim zwyczajem z niemożliwie głupich źródeł. Ponieważ sądzę, że nietylko mnie jednemu obrzydło już odczytywanie wciąż jednych i tych samych frazesów o socjalizmie, Marksie, walce klas, więc wskażę prasie warszawskiej parę książek, na podstawie których, o ile je zrozumie, będzie mogła przez jaki rok pisywać dające się czytać bez ziewania przynajmniej w Kiernozi i Bełżywach feljetony, gromiące socjalizm, Marksizm i wszystko, co ich jest. Oto np. dwa tomy profesora Vilfoldo Parthe *Systémes socjalistes*, najpoważniejszego dziś te-

oretyka z pośród przeciwników socjalizmu, albo praca Benedette Crou: „O materjalistycznem pojmowaniu dziejów i marksistycznej ekonomji“. Na jej podstawie można napisać z tuzin feljetonów na bardzo sensacyjne tematy, a kosztuje tylko 3 fr. 50 c. A jeszcze nie koniec, jak to się wyczerpie, znowu poradzę.

O żółtych zaś stanowczo radziłbym pisać z mniejszym aplausem.

Jest to laseczka o dwóch końcach.

Nawet organizacja łamistrejków zwraca się czasami w niepożądanym kierunku: Pewien urzędowy historjozof—nazywał się podobno Zubatow—także sądził, że walkę klas wymyślił Marx.

Skończyło się zaś niezupełnie dobrze.

I z francuskiemi „żółtemi“ skończy się prędzej, czy później nie lepiej. Ruch „żółtych“ wywołany jest przez specjalne warunki ekonomiczne, w jakich znalazły się niektóre gałęzie przemysłu, i przez pewne błędy socjalizmu parlamentarnego.

Shaw to sprzymierzeniec nieoczekiwany. Shaw jest bardzo zdolnym persyflistą. Dość wczytać się w styl. Jak to jest napisane—no proszę, czyż nie od razu znać że „la seule chose qui importe, c'est la maniere de dire“. W tym razie jestto istotnie jedyna rzecz, qui importe.

Gdyby Nowaczyński napisał feljeton o empirjokrytycyzmie, byłaby to zapewne rzecz bardzo świetna, wątpię jednak, aby Machowi zepsuła albo poprawiła humor.

Jeżeli towarzyszom niemieckim artykuł Shawa sprawił przykrość, to mają stanowczo smak popsuty.

Nie umieją ocenić szczęścia, że o kryzysie w socjalizmie piszą ludzie z takim talentem.

Gdyby im tak przetłumaczyć Kurnatowskiego nie tyle żółtą, ile żółtodzióbną „Rozmowę“ o socjalizmie... Pan Kurnatowski uwierzył naprawdę, że socjalizm to jest to, co mówi w parlamencie nieskończenie wymowny Jan Jaurès, lub co pisze nieskończenie zabawny Eugéne Fourniére. Sądzi, że dość jest wykazać tu i tam parę nielogiczności, doprowadzić do absurdu to lub owe twierdzenie, nagadać własnych naiwności nietzsheanizującej pensjonarki i oto jest feljeton, co najmniej równie głęboki jak historjozofja p. Nowiny z zeszłorocznej *Krytyki* o upadku Rossji.

Czego tylko polski literat nie rozumie, to wnet w jego oczach upada.

I ludzie się dziwią, że jest już tyle kryzysów w socjalizmie, w nauce, w całym świecie.

Przecież dokąd by polski literat zajrzał, wszędzie jedno i to samo: głowa się kręci, oczy na wierzch wyłażą...

Tu mu mówią, że atomy, materja, eter są tylko znaczkami pojęciowości, tam znowu opowiadają, że wartość wytwarza praca, tam jeszcze coś dziwniejszego.

„Ja pijany, świat pijany“!

Usiąść i uczyć się, pomyśleć i zastanowić... eee... niepodobna.

Cóż łatwiejszego: kryzys, upadek.

Najzupełniej zrozumiałe...

Tylko jakie nudne są kryzysy socjalizmu w głowie p. Kurnatowskiego, a jakie żałośnie zabawne — powiedziałbym, gdyby nie cisnęły się bardziej piekące wrażenia — *Upadki Rosji*, pod piórami współpracowników uciekinierów z Wyborga.

Ponieważ jednak już rozmawiamy o sensacjach, zwrotach, kryzysach, przełomach, więc mówmy do końca.

A koniec tej przypowieści może będzie dla warszawskiej prasy mniej wesoły. Kryzys jak kryzys, a nowinki w socjalizmie są...

Jestem człowiek wdzięczny: za nowinki trochę podrabiane Shawa, dam aż dwie autentyczne i to od razu ze wschodu i zachodu. A jeśli się nie podobają, to już nie moja wina.

Przedewszystkiem jednak o Bernardzie Shaw.

Powiedział on, że gdy go nazwą mieszczuchem, nikt nie uwierzy.

Ale że jest zblazowanym humanistą, człowiekiem, który nie bardzo wie, po co ludzkość żyje i który patrzy na historję, jak na maskaradę, temu nie zaprzeczy on sam.

O tem mówią już jego dramaty.

Shaw należy do tych, którym obrzydły wielkie słowa. Zapomina tylko, że i sama pogarda dla wielkich słów może się stać frazesem. Taka np. historja z tą teorją wartości. Przecież to jest jasne, sam Marx zresztą zgadzał się na to pośrednio, że teorja wartości pracy nie może służyć do regulowania i określania ceny. Trudności i sprzeczności, jakie powstają przy zestawianiu III go tomu z I-ym i t. d.

Ach tak, ale powiem państwu nowiny. O tem, że praca, jako miara wartości, nie może służyć do regulowania cen, istnieje bardzo dobra, ostateczna, klasyczna książka...

Powiedzieć wam? co? Będzie kryzys, kryzysik, kryzysiątko.

Dobrze, książka nazywa się... Misère de la Philosophie... a napisał, ją, napisał ją... pewien Karol Marx... Aha.

A to nie wszystko.

Niemieckie wydanie książki ma przedmowę, nie byle jaką przedmowę, arcywzór lapidarnego stylu — i wciąż na ten sam temat za pomocą zrównania wartość=praca=czas społecznie niezbędny—cen na towary regulować nie można. I podobne myśli rodzić się mogą w głowach tylko filantropijnych junkrów pruskich, a przedmowę—napisał bardzo wesoły i przyjemny pan, który nazywał się Fryderyk Engels.

Dwa kryzysy: — sarmackiej łatwowierności i zasadniczej anglosaksońskiej w rzeczach filozoficznych tępości.

Teorję: wartość = praca, jeszcze przed Marxem angielscy ekonomiści, *socjaliści*, którzy kształcili się na Dawidzie Ricardo—Hodgkins, Thompson np. pojmowali jako zasadę normowania ceny. Skoro praca wytwarza wartość, każdy powinien otrzymywać tę wartość, jaką wypracowuje.

Marx do swojej książki o Proudhonie dołączył rozbiór krytyczny jednego z tych myślicieli socjalistycznych, *Johna Graya*, pomimo to jednak jakiś ekonomista angielski—nazwiska nie pamiętam — w przedmowie, dodanej do niemieckiego przekładu pracy Thompsona o „podziale bogactw“ — w dalszym ciągu twierdzi, że Marx głosił teorję, że każdy robotnik powinien otrzy-

mać całą wartość, jaką wytwarza — tak sobie — tout court — a dzisiaj Bernard Shaw dowodzi, że robotnicy nie wydzierają z gardła swym pryncypałom nadwartości, że zatem walka klas nie istnieje.

Walka klas przedstawia się wesołemu dramaturgowi, jako pewien rodzaj bójki na kułaki o nadwartość, tak jak niegdyś wyobrażano sobie darwinowską walkę o byt, jako wzajemne zagryzanie się bestji.

Według Shawa z teorji Marxa wypływa taka konsekwencja: wartość wytwarza praca jedynie, ja pracuję, a więc zabieram ci fabrykę, niszczę kasę ogniotrwałą i t. d.

Poczciwy pan Shaw.

Ten tak arogancki przy swojej połowicznej ignorancji w ekonomji politycznej Karol Marx miał naiwność dowodzić, że takiego rodzaju rozwiązanie sprawy społecznej przez sprawiedliwą ocenę wytwarzanych przez robotników—towarów na zasadzie: wartość = praca, jest niemożliwe.

Stworzył całą teorję, aby to uzasadnić i wykazać, że droga do rozwiązania zagadnienia prowadzi przez całkiem inne komplikacje, że idzie tu bynajmniej nie o wydzieranie z gardła nadwartości, nie o sprawiedliwą ocenę—bo tego rodzaju łokciowo-katechizmowe pojęcia o kwestjach ekonomicznych, mogą tułać się jedynie po mózgach kramarsko-purytańskich, a więc z podwójnych względów do spekulacji filozoficznej i analizy objektywnej niezdatnych; lecz że idzie tu zgoła o co innego. O cóż by? O to: *o uzdolnienie klasy robotniczej do samoistnego kierowania procesem wytwórczym na stopniu, nie tylko wytrzymującym walkę konkurencyjną z przedsiębiorstwami*, prowadzonemi przez kapitalistów, lecz przewyższającym je *sprawnością ekonomiczną*.

Jakże nazwał on tę teorję?

— Teorją *walki klas*.

Więc w walce klas nie idzie o wydanie wytwarzanej nadwartości.

Bynajmniej, idzie o to, aby powstawanie kapitalistycznej nadwartości było niemożliwe, gdyż powstrzymywałoby wytwórczość.

Pan Shaw tego nie wie.

Czy jest dlatego mieszczuchem? Nie, bynajmniej, jest bardzo dowcipnym człowiekiem, tylko... i przedewszystkiem Marxa, albo nie czytał, albo czytał, ot tak po angielsku, jak np. Spencer czytał Kanta. Spencerowi też zdawało się, że Kanta krytykował. A wierzono mu w Anglji i nietylko w Anglji.

Pięknie, powiecie, ale pocóż dla tak niewinnych celów walka klas.

Bardzo dobrze: zaraz wytłumaczę.

Oto aby klasa robotnicza mogła czynić postępy na drodze swojej ekonomicznej sprawności i zdolności do samodzielnego prowadzenia przedsiębiorstw, musi ona pracować w warunkach, nie zabijających wszelkiej samodzielności. Wywalczenie sobie tych warunków — było, a i jest w wielu krajach jednem z najważniejszych zadań. Czy skierowane one były przeciwko nadwartości. Przeciwko pewnej jej naturze raczej. Nadwartość, osiągana za pomocą krańcowej eksploatacji sił pracujących, musiała ustąpić nadwartości, osiąganej przy zastosowaniu udoskonalonych narzędzi technicznych przez eksploatację mniej natężoną, pozostawiającą więcej swobody, więcej warunków osiągnięcia pełnego ludzkiego rozwoju pracującym.

(d. c. n.).

St. Brzozowski.

Literatura polska ostatnich lat 20-tu
w oświetleniu chwili obecnej.

(Dokończenie).

Ponieważ całe obszary pól społecznych były niedostępne, skazane na odłogi, więc wszystkie w kraju jednostki zdolniejsze i żądne ruchu z konieczności garnęły się pod znak piśmiennictwa, chociaż, być może, nie odpowiadało ono ich talentom i gustom przyrodzonym; cóż jednak, skoro ono jedno dawało arenę pracy i widoki rozgłosu; a przytem, bądź co bądź, dostarczało jakichś złudzeń, jakichś pozorów działania i oddziaływania, dawało równoważnik czy surogat życia realnego i prawdziwej walki, prawdziwego podboju.

Rzecz całkiem zrozumiała, iż literatura, absorbując całą pełnię życia i przyciągając pod swe chorągwie wszystkie wybitniejsze siły, rozszerzyła skalę swych motywów i zakres swoich zadań, asymilując w łonie swem mnóstwo żywiołów obcych artyzmowi, nic zgoła nie mających wspólnego ze sztuką.

T. T. Jeż w całym cyklu powieści współczesnych zawiesza często akcję, aby wyłożyć czytelnikowi, w sposób lekki, system klasyfikacji ekonomicznej, lub mechanizm jakiejś sztuki technicznej. Prus w utworze beletrystycznym poświęca rozdziały teorji drgania fal i wirów eterycznych. Dramaty i nowele Świętochowskiego, w swej surowej nieugiętej powadze, są niemal wszystkie traktatami o temacie etycznym. Nauka, nie znajdując dla siebie gruntu samoistnego, tysiącznemi wpływami przesiąkała do literatury nadobnej.

W takich warunkach atmosfery, poczęto utożsamiać czyn obywatelski, usługę ojczyźnie, pracę dla przyszłości—z wydaniem nowego romansu lub powieści. Sienkiewicza ceniliśmy do niedawna nie tylko jako beletrystę, lecz głównie jako budowniczego Polski, prawie że jej wskrzesiciela. On sam działalność własną uważał, w głębokiem przekonaniu, nie tylko za rzecz piękna, ale zarazem pożytku powszechnego; pisał dla pokrzepienia serc narodu, chciał weń wlać otuchę.

Za przybliżony wyraz tych poglądów, utylizujących poezję, może służyć niefortunne studjum Nowińskiego o Sienkiewiczu. Autor znosi już zupełnie przedział między tworzeniem w wyobraźni, a tworzeniem w życiu realnem. Pisarz z barwnem piórem znaczy dlań tyleż co działacz rzeczywistości. Z naiwnością, właściwą poprzedniemu okresowi, zastanawia się Nowiński, czem mógłby się stać Sienkiewicz, gdyby przyszedł był w innej epoce: niezawodnie byłby on zdolnym administratorem państwa, jak Zamoyski, wielkim wojownikiem, jak Sobieski, wiekopomnym prawodawcą etc...

Nie zapominajmy, że książka ta w chwili ukazania się swego trafiła masom szerokim do przekonania, nie posądzono autora o talent humorystyczny!

Na dowód zresztą tego, że słowa Nowińskiego nie były elukubracją osobistą, ale objawem mniemań powszechnych, dość będzie pomyśleć, ilokrotnie opinja publiczna powoływała Sienkiewicza do odegrania roli reprezentacyjnej względem społeczeństwa, w rozmaitych okolicznościach, gruntując swoją wiarę w niego jedynie na sławie literackiej i nie pytając wcale o inne kwalifikacje.

Jak mocno, jak głęboko sięgnęła w ustrój nasz iluzja, że zrobić czyn—to napisać książkę, a działać, to znaczy marzyć i rozumować, widzimy stąd, że nie oparł się jej drugi wielki uczeń Szkoły Głównej, Al. Świętochowski. Owszem, u niego iluzja ta żyje może najniepodzielniej, bo w nim najdobitniej zogniskował się prąd pozytywizmu, którego punktem wyjścia była abdykacja. Jego umiłowanie djalektyki, jego pjetyzm dla czystych form myślowych, których grą tak po mistrzowsku on jeden tylko potrafi się bawić, w ustawicznem oderwaniu od rzeczywistości, — już usprawiedliwia sąd ten dostatecznie. Aby się wszakże o tem bliżej przekonać, weźmy jakąkolwiek z jego nowel, np. pod tytułem: „Głowa". Mamy w niej materjał konkretny. Cała działalność Świętochowskiego upłynęła w Królestwie, pod najsroższym reżymem policji, ale być może, nigdzie niewola nasza nie odbiła haniebnego oblicza w tak palącym wyrazie, jak w tym utworze. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, długie lata nie dostrzegaliśmy tego!...

Nieświadomie i bezwiednie, staczając się po nicości życia realnego, cofnęliśmy się wstecz o szeregi stuleci i z upokarzającą intuicją potrafiliśmy się wżyć w stan duszy filozofującego niewolnika Epikteta; jak ów poniewierany stoik, wmawialiśmy w siebie, że nic to, chociaż ręce nasze są okute, byle myśl była wolna, byle wyobraźnia lotna, byle nieskrępowane uczucie; a wszak te żywioły zostaną wiecznie wolne, więc nic naszemu Królestwu, naszej ucieczce nie zagraża: wystarcza czuć się wolnym, aby być wolnym w rzeczywistości. Przeklęte złudzenie! Czyż wystarcza uczuć się królem hiszpańskim, aby się nim stać istotnie?

Tymczasem u stóp naszych przepaść otwierała się coraz szersza, sfera czynu zacieśniała się coraz rozpaczliwiej; lodowata, mroźna, coraz bardziej zastraszająca nicość potęgowała żądzę ułud, iluzji, halucynacji, snów, widzeń.

W pracy Matuszewskiego o „Nowej sztuce" znaleźć można wykład genezy modernizmu, oraz sposób, w jaki przeszczepiony został na naszym gruncie. Ja poprzestaję na zaakcentowaniu jego barw i tonów lokalnych, w które przyoblekły go specyficzne warunki naszego bytu. Nie trzeba więc zapominać o dążnościach ogólno-ludzkich tego ruchu, dla tego tylko, że ja w danym wypadku o nich zamilczam.

Nie byliśmy nigdy zbiorowo, społecznie tak bezsilni i bezczynni, a nigdy tak intensywnie nie marzyliśmy o potędze, nigdy tak ogromnie nie imponowała nam siła, jak właśnie w epoce rozkwitania modernizmu.

Ponieważ nie było dziedzin wolnych i dostępnych na ziemi, więc poczęto budować królestwa „W mroku gwiazd", jak Tadeusz Miciński.

Ponieważ nie było zadań dla wspólnej pracy, więc uznano, że jednostka sama sobie wystarcza, i że wtenczas właśnie jest najtęższą.

Ponieważ, jak okiem było sięgnąć przed siebie, nie dostrzegano żadnych wogóle celów, więc za treść życia, za „Skarb" człowieczy ogłoszoną tęsknotę najczystszą, nie znającą spełnień, lękającą się kresów. Oszałamiającym piewcą tej bezmiernej trwożnej tęsknoty jest Staff. Jego „Sny o potędze", jego „Śpiewy o czynie" są najdonośniejszem echem tej pustki życiowo-społecznej, która mocą złowrogiego kontrastu śni i marzy właśnie o pełni życia, o nadmiarze sił, o wybuchach energji.

Czem jest synteza całej poezji Tetmajera, odbita w kryształowym poemacie: „Podczas wiatru z Tatr", jeśli nie ekstazą sponiewieranej niemocą duszy, którą hypnotyzuje odwieczny majestat gór, niezłomna moc granitów, która tak obcą jest duszom jego pokolenia.

— „Gdybym ja nie był król bez korony
Gdybym ja nie był bóg bez wieczności" —

z rozdzierającą skargą woła Miciński, jeden z owych bohaterów, o których mówi Wyspiański, że

— „Kiedy taki heros jęknie,
to po całej Polsce jęczy,
to po wszystkich górach woła,
to po wszystkich borach dźwięczy... —

wybucha skargą w tęsknocie za niedosiężnym czynem, aby za chwilę, biorąc sen za prawdę, porywać się na dzieło odrodzenia ludzkości:

— „Ja powiodę was w kraj zórz polarnych,
Tam przekuję was, ludzi, w półbogów,
Dziką pieśnią serca wam zachwycę,
A do ręki dam grom — i orlicę"! —

Najgłębiej tragiedja naszej nicości i bezmocy zapadła w duszę Wyspiańskiego, — i on stał się najdumniejszym, najwznioślejszym wieszczem Potęgi. W nim rozdarcie między rzeczywistością, a snem stało się najbardziej krwawem; on najsilniej oddziałał na cały naród, bo wydobył na jaśnię palące prawdy, ukryte na dnie wszystkich dusz. Ci, co w swoim czasie zrozumieli i odczuli Wyspiańskiego, tylko nie w sposób powszedni i teatralny, ale w ciszy i tajemnicy własnego ducha, musieli zatrwożyć się i wzdrygnąć, jak człowiek, który, ocknąwszy się, spostrzega nagle, że spał nad przepaścią.

Ale ironja losu i przemoc warunków były tak silne, że Wyspiański, burząc echa pogrobowe romantyzmu i wyklinając tradycję poezji, uczynił z tego pomysł do nowych poematów swoich.

Ten brak oddechu, to zapadanie się gruntu pod nogami, ten beznadziejny okrzyk zwątpienia: „Czem żyć? Czem istnieć nadal?" — jest najgłęszym motywem całej twórczości St. Przybyszewskiego, zasadą jego tragizmu, wielkością jego roli w kulturze naszej.

Przez ostatnie lata królowania poezji, jak widzimy, krzyżowały się nieustanne prądy protestu i buntu przeciwko jej władztwu i przewadze. Wystąpić jednakże otwarcie nie ośmielano się, bo usługi jej zdawały się nieodzowne i zbawienne: ona wyzłacała nam jarzmo

ucisku, niosąc ulgę w niewoli; ona była drogą wyzwalania się dla nadmiaru krępowanej ze wszech stron energji; ona nakoniec broniła imię nasze przed zapomnieniem Europy. To utylitarne pojmowanie poezji i działalności literackiej jeszcze niedawno rozwinięte było tak silnie, że, kiedy przed 4-ma laty Młoda Polska detronizowała Sienkiewicza z wygórowanego piedestału sławy, sprowadzając znaczenie jego do właściwej wagi, większość ogółu oburzyła się na to, jako na krzywdę, wyrządzoną narodowi całemu, wychodząc z instynktownego założenia, że sława autora „Trylogji" stanowi dobytek narodu polskiego i tykać jej nie wolno.

Dziś jednak czas się przełamał.

Rzeczywistość życia i siły, która tak głucho i martwo milczała od lat, wystąpiła z brzegów i zalewa obszary. Przyszłość dźwiga się przed nami.

Dziś nie potrzebuje już poezja zamykać się po wieżach z kości słoniowej i uciekać w niedostępne światy; dziś zstąpi ona na padoły ulic; nie będzie już kwiatem dla zakrycia nicości, ale płomieniem walki.

Minęła poezja słowa, rozpocznie się poezja czynu. Okres obecny nie będzie już opiewał i roił o bohaterach, ani ich uwieczniał: będzie ich tworzył w życiu.

Wstępując na pole pracy i natężonych wysiłków, z nadzieją powrotu do równowagi zdrowia, dzisiaj nie potrzebujemy już środków sztucznych podniecеń, balsamów ani haszyszów; możemy surowo, jak sędziowie, spojrzeć w przeszłość, bośmy ją już przezwyciężyli, bo już stajemy ponad nią.

Wincenty Rzymowski.

Władysław Wandycz.

TAJEMNICE STASIA.

—o—

(Dokończenie).

Staś ogłuszony, nieprzytomny cicho wysunął się z kuchni. Usiadł na progu przed domem; taka niemoc go ogarnęła, że nie miał siły iść dalej.

O parę kroków służące rozmawiają półgłosem.

Staś opuścił głowę na piersi. Już nic nie chce słyszeć — wtula twarz w dłonie.

— Żeby choć tyle mieć sił, aby móc przejść przez podwórko, schować się i nic nie widzieć, ani słyszeć...

Mimowoli podnosi głowę. Ryża dziewczyna uśmiecha się, spoglądając na Stasia. Do grupy przyłączyła się jeszcze jedna służąca.

— W wychodku porodziła! — co też gadacie...

— Ano przecież widziałam na własne oczy...

— A to i dobrze było...

Staś poczuł w sobie nadzwyczajną siłę: począł biec: zatrzymał się pod płotem, otaczającym podwórko znów biegł w przeciwnym kierunku, aż wyczerpany przypadł do studni. Usiadł; głowę pochylił na piersi. Nagle pomyślał o Jance. Chciał pobiec, ale nie mógł; wolnym, ociężałym krokiem skierował się ku domowi.

Grupy ludzi rozpierzchły się. W kuchni zastał kucharkę z Misią na ręku; przypomniała mu o obiedzie. Staś nic nie odpowiedział. Cicho wsunął się do pokoju siostry.

Janka siedzi przy oknie. Nie odwróciła głowy, gdy wszedł. Staś spojrzał i teraz dopiero poczuł w sobie całe morze cierpienia, żalu dławiącego. Przylgnąwszy do kolan Janki, płakał. Ocierał twarz fałdami jej sukienki. Janka milczy i gładzi mu włosy. Staś uspakaja się. — Gdyby Glowacz tu był... — mówi stłumionym głosem. Janka wstała. Staś spojrzał na siostrę: twarz Janki szkarłatem zalana. Opuścił głowę: — może przykrość jej zrobił?

Wszedł ojciec. Był zdenerwowany; chodził po mieszkaniu; rozmawiał z kucharką.

Uspakajał Jankę i Stasia; mówił urywkowo, dziwnie. Wspominał o powrocie mamy: dodał, że trzebaby... i nie dokończył.

Przy kolacji starał się zagadywać to o tem, to o owem. Staś nic nie rozumiał; nie starał się udawać, że słucha. Po kolacji ojciec wyszedł, tłumacząc się jakiemiś inseresami.

Staś leży w swojem łóżku. Czuje, że nie zaśnie; mnóstwo myśli przesuwa mu się przez głowę.

Ustanawia związek pomiędzy tem, co niegdyś widział i wypadkami ubiegłego dnia.

— Po co ojciec to robił? — przecież już ma dzieci...

— Mamka tak postąpiła, bo nie chciała mieć dziecka... Czemu nie chciała? — Wstydziłaby się?—Tak, bo jest panną, a panny dzieci nie mają, a ona miała, więc dlatego.

— Franka jest biedna—co ona zrobiłaby z dzieckiem? — Dzietnej służącej Staś jeszcze nie widział. Wszystkie są panny: to już chyba powinno tak być...

— Czy ojciec nie wiedział, że tak może stać się?...

— Czemu Janka tak bardzo płakała? — przecież ona nie wie o niczem, nie może wiedzieć. Czyżby domyślała się? — Więc takie rzeczy dzieją się, skoro można się ich domyślać?... Staś nigdy tego wiedzieć nie będzie, bo wstydziłby się zapytać o to Jankę.

— Co będzie, gdy mama przyjedzie? — Przecież dowie się — wszyscy wiedzą.—Przypomniał sobie słowa, słyszane w kuchni.

— Mamkę wzięli do więzienia — ojca także zaaresztują, bo mamka przyzna się do wszystkiego... To musi stać się, to będzie straszne—Staś tego nie przeżyje

— Gdyby na podwórku była rzeka, rzuciłby się bez wahania...

— Uciec, daleko, aby już nigdy nie wrócić do do domu. — A co się stanie z mamą, Janką, Misią? — Co się stanie z ojcem?... Zamyśla się. W umyśle Stasia ojciec przybiera rozmaite postacie.—Ojciec to zupełnie obcy dla Stasia człowiek, z którym nic go nie łączy.

To znów czuje w jego postaci tyle niezrozumiałego, że chciałby mu zadać całe mnóstwo pytań... Staś tego nie zrobi, bo to niemożliwe, — więc wszystko niezrozumiałe, dziwne musi takiem pozostać dla Stasia nazawsze. Niebawem przyłącza się wspomnienie wszystkich tych nocy, podczas których Staś nie spał i liczył do tysiąca—i ojciec staje się czemś, wzbudzającem tyl-

ko strach—czarną, dziwaczną postacią, jakby nieludzką, nieokreślone kształty której rozpływają się w mroku.

Staś wraca z gimnazjum. Zajęty swemi myślami, nie odpowiada idącemu obok niego Krzyckiemu.

Stanęli na rogu ulicy.

Aresztantów prowadzą! — krzyknął Krzycki. Żołnierze z błyszczącemi szablami: trzech na przodzie, trzech z tyłu i paru po bokach. Zbita gromada w nieładzie podąża. Odziani w łachmany. Twarze ich blade, bezmyślne. Lśnią się łachmany wytłuszczone, a nagie szable błyszczą na przedzie... Przechodzą tuż obok Stasia. Wśród tych postaci jedna wyróżnia odzieżą swoją i wyrazem twarzy... Staś ją poznaje i ta twarz uśmiecha się do Stasia...

Przeszli.

Stasiowi atlas wysunął się z ręki. Stoi, jak wryty, patrzy przed siebie..

Krzycki podbiegł do niego, śmieje się.

— To z ciebie lala, nie widziałeś aresztantów? — a toś zbaraniał! —

Uderza Stasia w tornister i pcha go przed sobą. Staś oprzytomniał. Wyrwał się i pobiegł naprzód, zostawiając za sobą Krzyckiego.

— Idzie wolno z głową spuszczoną.

— Czemu Franka śmiała się?—

Pytanie to ma dla Stasia jakąś nadzwyczajną doniosłość: zdaje mu się, że w niem tkwi rozwiązanie wszystkiego, nad czem napróżno łamie sobie głowę. Jednak nie dowie się tego — Franka mu tego nie wytłumaczy,—i nikt.

To już chyba pozostanie tajemnicą Franki.

Władysław Wandycz.

Glossy.

Gazeta Wileńska.

Z wielkim żalem wyczytaliśmy w ostatnich numerach Gazety Wileńskiej, iż pismo to przestaje wychodzić dla braku środków. Jest to wielka strata dla naszego dziennikarstwa. Pismo było redagowane wybornie, tak pod względem informacyjnym, jak i doboru artykułów ogólnych. Wstępne artykuły dawały zawsze żywy obraz chwili i pisane były z zapałem; z tą głęboko odczutą miłością wolności i szlachetnych ideji, walki z uciskiem. Pismo, szczerze demokratyczne, stało na gruncie obrony interesów ludu, występowało ostro i bezwzględnie przeciwko polityce naszych sfer narodowych, broniących ładu i porządku, śmiałością w wypowiadaniu pismo wyróżniało się wybitnie wśród tchórzliwych i oportunistycznych i lawirujących publicystów kurjerkowych i gazetowych.

Trzeba też wypowiedzieć wyrazy ubolewania nad ogółem, który nie odczuł potrzeby istnienia takiego organu, a dla szanownej Redakcji wyrażamy szczere uznanie i wdzięczność za te gorące słowa, jakie zdążyła wypowiedzieć w krótkim okresie swej działalności. Wierzymy też, że Redakcja wskrzesi jeszcze pismo i budzić będzie gruboskórne sumienia swych obywateli.

Ekonomiczne, polityczne i socjalne położenie klasy roboczej Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki.

(Ciąg dalszy).

Położenie socjalne klasy roboczej Stanów Zjednoczonych.

Nietylko polityczne i materjalne ale i socjalne położenie (t. j. stosunek do reszty społeczeństwa i do urządzeń społecznych) robotnika amerykańskiego jest inne, niż u nas w Europie. Jest on tu absolutnie traktowany narówni z „wyższemi“ stanami, choć stanów w dosłownym znaczeniu tego słowa w Stanach Zjednoczonych niema. Są tylko bogacze—kapitaliści, biedacy—robotnicy Ale przepaść między temi warstwami w Europie, chociaż mniejsza, posiada głębokie podstawy społeczne i obyczajowe. W Ameryce w życiu publicznem, jak również w instytucjach społecznych różnica ta zaciera się, ustępując miejsca pewnego rodzaju „równości“ społecznej. Bez względu na to, czy jest to pozostałość owych dobrych czasów, kiedy różnice ekonomiczno-społeczne nie występowały jeszcze tak jaskrawie, pozostałość czasów przedkapitalistycznych w wielkim stylu, jaki znajdujemy obecnie, w każdym razie tendencja ta zdobyła sobie powszechne znaczenie i dotrwała do ostatnich czasów. Dopiero teraz, pod wpływem kliki kapitalistów, rozporządzających całem bogactwem kraju i coraz silniej zmierzających do pochwycenia steru rządów w swoje łapy, aby tem skuteczniej dbać o swoje „zagrożone“ interesy — równość społeczna zaczyna tracić grunt, ustępując miejsca przywilejom społecznym.

Ale tendencje te dopiero się zarysowują, ich charakter występuje zaledwie w utajonej formie. Powszechnie panuje jeszcze przekonanie o równości społeczno-obyczajowej. Stany Zjednoczone nie posiadają tradycji średniowieczno-feodalnej. Kraj, z natury swej kolonialny, uważał wszystkich zdolnych do pracy za równych sobie obywateli, i ten charakter pojęć społecznych utrzymał się w szerokiej masie do dzisiejszego dnia. Wszyscy badacze życia amerykańskiego zupełnie zgadzają się co do tego, że społeczeństwo amerykańskie jak dotychczas zupełnie pozbawionem jest uwarstwienia w duchu europejskim. Brak też tam serwilizmu i uniżoności, jaka cechuje nasze klasy ubogie w stosunku do „panów“, do klas „wyższych“. Każdy obywatel Stanów Zjedn. uważa się za równego nietylko pod względem politycznym, ale i społecznym. Wszystkie instytucje publiczne skrojone są w tym duchu, żadnych sztucznych podziałów, jak u nas w Europie, gdzie panowie oddzielają się od hołoty, gdzie człowiek zaczyna się dopiero od barona lub przynajmniej radcy stanu, doktora, adwokata lub oficera. Takie położenie rzeczy odpowiednio wpływa na ukształtowanie pojęć i ideologję klasy roboczej, odczuwającej przez to w mniejszym stopniu swoje wyjątkowe położenie, jako dającej wszystko, a biorącej ochłap. I trzeba dużo czasu i wysiłków, aby te niejako „wrodzone“ pojęcia ustąpiły zmieniającej się rzeczywistości.

Stosunek równouprawnienia występuje nietylko w życiu społecznem ale i w murach fabrycznych. Sto-

sunek robotnika amerykańskiego do fabrykanta pozbawionym jest dzięki długoletniej „posuchy na siły robocze“, zupełnie cech właściwych naszym europejskim stosunkom. Traktowanie robotnika jest tam nietylko „przyzwoite“, ale wprost nacechowane wyszukanym szacunkiem. Ten pozorny atoli stosunek równości kryje w sobie formy największego wyzysku ekonomicznego.

Nigdzie robotnik nie jest tak *względnie* wyzyskiwanym, jak w Stanach Zjednocz. Tylko dzięki wyjątkowym warunkom politycznym, ekonomicznym i społecznym, o których była mowa, wyzysk ten mniej jest odczuwanym, niż w innych krajach.

Kapitaliści amerykańscy umieją zjednywać sobie robotników: traktują ich niezwykle uprzejmie, urządzają warsztaty elegancko i wygodnie, (chociaż środki zapobiegawcze są przeważnie zaniedbane) urządzają biura zażaleń i t. d., w końcu starają się zainteresować robotników w rozwoju samego przedsiębiorstwa. W tym celu urządzają skrzynki „projektów i udoskonaleń fabrycznych“, do których robotnicy mogą składać swe projekty ulepszeń fabrycznych. Najlepsze z tych projektów, naturalnie, dające fabrykantowi niekiedy miljonowe zyski, otrzymują nagrody. Napozór zostaje i owca cała i wilk syty.

Daleko gorszym wyzyskiem jest szeroko praktykowana przez przedsiębiorców amerykańskich sprzedaż akcji własnego przedsiębiorstwa swoim robotnikom. Gwarantując nieduży procent, pozbywają się w ten sposób dużo akcji, uruchamiają swój kapitał, a następnie wciągają robotników w wir pogoni za zyskiem. Często bankrutujący fabrykant w ten sposób pociąga za sobą i robotników, pozbawiając ich poczynionych oszczędności. Wszystkie te objawy pośrednio także przeszkadzają rozwojowi ruchu socjalistycznego.

Nic atoli nie sprzyja tak rozwojowi ideji socjalistycznych jak kryzysy ekonomiczne. Najlepiej nawet płatni i najbardziej konserwatywni robotnicy w obliczu niepewnego jutra przetwarzają się, jeżeli nie w „widma czerwone“, to przynajmniej w „sympatyków“ socjalizmu. I pod tym względem Stany Zjednocz. są krajem wybranym. Nigdzie bowiem kryzysy ekonomiczne nie są tak częste i nie przyjmują tak wielkich rozmiarów, jak tutaj. Należałoby się więc dziwić, iż mimo tak sprzyjających warunków, socjalizm tutaj się nie „przyjął“.

Przyczyny tego należy znowu szukać w swoistości stosunków amerykańskich. Stany Zjednoczone posiadały niezmierzone prowincje zachodnie, dostępne kolonizacji. I do tych prowincji robotnik amerykański skierowywał swe spojrzenie w razie kryzysu, pewny, że za małe pieniądze stać się może „statecznym“ fermerem. Dlatego nie ogarniała go rozpacz w razie kryzysu. Jednocześnie z emigracji do zachodnich prowincji odpływały najlepsze i więcej uświadomione siły centrów przemysłowych, których miejsce zajmowały po przełomie nowe siły z zapadłych kątów Europy. W ten sposób najruchliwsze i najwięcej podatne elementy dla ideji socjalistycznych stale zostawały eliminowane.

Ale wraz z ludźmi ziemi w kolonjach nie przybywa, przeciwnie, i tam jest coraz ciaśniej. Co będzie, kiedy ostatni robotnik, pozbawiony pracy, zdobędzie ostatni wolny kawałek ziemi kolonjalnej? Wtedy gra warunków życiowych w Stanach Zjednocz. przyjmie obrót, jaki znajdujemy w Europie, gdzie już dawno posiadanie ziemi, matki karmicielki wszystkich żyjących, stało się udziałem warstw uprzywilejowanych. Wówczas wyrzucony na bruk robotnik amerykański w jednej chwili zrozumie ewangelję socjalizmu i stanie się jej prawowitym apostołem.

(d. c. n.).

Stefan Lichtenstein

Z Ukrainy.

W najbardziej zgiełklikowych czasach współczesnego życia zdarzało mi się spotykać ludzi, którzy z boleścią prawdziwą, z jękiem niemal, skarżyli mi się: „Nie możemy myślą nadążyć za wartko rwącym wciąż naprzód i naprzód—prądem rzeczywistości bieżącej... Jesteśmy zmęczeni!“...

Zdaje mi się, że w szczerem wyznaniu tem odbijał się rzetelnie nietylko właściwy nastrój indywidualny; było w niem jeszcze coś ogólniejszego, zbiorowego, — powiedziałbym, — klasowego. Ci przedstawiciele inteligencji naszej, którzy na toczącą się walkę jutra z dniem wczorajszym przywykli patrzeć okiem obojętnego widza,—ci ludzie, których nie stać na wysilek—czynu,— są dziś znużeni.... oczekiwaniem.

„A niechby też już było to „jutro“, — chociażby najgorsze! Niepewność jest zbyt męczącą!“—Wykrzykniki te wiszą w powietrzu nieustannie. Nasiąkło ono niemi...; coraz to się je powtarza na różne sposoby, w rozmaitych słowach i odcieniach....

Lecz tak się dzieje w miastach. Burżuazja miejska, może bardziej postępowa, a może tylko—bardziej orjentująca się w obecnej sytuacji społeczno-politycznej,—w tym wirze nierozwikłanych zagadnień i konfliktów, — ta burżuazja nie marzy już nawet, aby jutra dzień mógł być podobny do dziś. Mieszczanin z wielu już rzeczy zrezygnował, wiele już postanowił „złożyć dobrowolnie na ołtarzu dobra społecznego“.... Lepiej też rozumie on konieczność nieuniknioną kataklizmu dziejowego.

Tak zwany „inteligent“ wiejski, t. j. człowiek, mówiący chętnie i dużo o polityce, literaturze, o sprawach publicznych i obywatelskich, — myśli inaczej. Pozostał on przy swej psychologji dawnej; dotąd patrzy on na świat temi samemi oczami, które mu się szeroko i naiwnie rozwierały na wieść o strejkach, demonstracjach, czerwonych sztandarach, bombach i t. d... z epoki, poprzedzającej wojnę japońsko-rosyjską. „Będzie kiedyś inaczej!“ — myśli on nieraz: „Stan obecny ulegnie może nawet kiedyś zmianie pod parciem tych tam rozczochranych rewolucjonistów... Ale to jeszcze nieprędko... nieprędko!...“

I powtarza to sobie w kółko „zadomowany gospodarz“ i zatyka uszy na huk nadciągającej burzy,—nie chce słyszeć grzmotu uderzeń, oręża szczęku,—widzieć nie chce potoków krwi.....

„To wymysł, bagatelka... To przejdzie, minie!“... uspakaja sam siebie i jak ślimak zamyka się w swym

domku-skorupie, rygluje drzwi, zatrzaskuje okiennice, aby doń wieści ze świata nie doszły.

„Wie, pan", przyznał mi się jeden „obywatel ziemski": „przestałem czytać pisma,—zbyt mię one denerwują". Jest w tem coś z polityki strusia, który, widząc grożące mu niebezpieczeństwo, zamyka oczy i łeb pod skrzydło chowa... Byle nie widzieć,—byle nie słyszeć....

Nawet ci, co się zawsze „postępowcami" kazali nazywać, dziś już pism postępowych czytywać nie chcą. Niepodoba się im uszeregowanie faktów, dobór artykułów, nazywanie rzeczy po imieniu. „Strejki", „bunty wojskowe", „zabójstwa polityczne", „ruch rolny", „zaburzenia na wsi", „starcia z wojskiem", „pożary", „pogromy", „rewolucja"..... „Panie! Po co „oni o tem piszą! Jeśli to nawet prawda, — my o tem wiedzieć nie chcemy. Rozumie, pan, — *nie chcemy*!"

To też pisma postępowe polskie tracą w dworach szlacheckich tych czytelników, którzy niedawno jeszcze „pisali się na postęp", — dziś wolą prenumerować wymyślające socjalistom „Dzwony Polskie", „Gazety" i tym podobne świstki endeckie. Krótkotrwałe, bo trzymiesięczne tylko, istnienie „Głosu Kijowskiego", który chciał siać na kresach ziarna myśli demokratycznej, najzupełniej potwierdza powyższe zdanie. „Obywatelstwo" nie chciało go popierać, bo nie jest „nasz" (niektórzy mówili: „bo nie jest polski"), a warstwy szczerze demokratyczne nie zdołały się tak szybko ugrupować dokoła tej placówki publicystycznej i... pismo upadło. Reakcja wolała konserwatywny, trącący wszechpolskim patrjotyzmem „Dziennik Kijowski"; pseudo postępowcy „nie chcieli się denerwować czytaniem"...

Ta zachowawczość „społeczeństwa polskiego na kresach" jest, rzecz prosta, tylko szczerem i niedwuznacznem zajęciem przezeń tego stanowiska klasowego, jakie temu „społeczeństwu" przystoi. Polskość, reprezentowana przez „sfery ziemiańskie", musiała w końcu w ten sposób skrystalizować swe poglądy; pod naciskiem chwili rewolucyjnej zrzucono maskę postępu słownego i pozostało właściwe oblicze kapitalisty wiejskiego „agrarjusza", który chętnie słuchał deklamowane przez swe dziatki wierszyki, jak to niegdyś prusak „ziemię oddał, a z duszą uchodził", ale sam naśladować tego prusaka niema ani chęci, ani zamiaru. Obecna chwila dziejowego przełomu ma to do siebie, że każe ludziom szczerzej i jaśniej określić ich stanowisko ideologiczne: niedawni przekonaniowi centrowcy, t. z. umiarkowani, neutralni dziś przechodzą albo na prawo, albo na lewo, różnicowanie się partyjne idzie wciąż żywszym i wciąż pospieszniejszym tempem.

Gdybyśmy się zechcieli opierać jedynie na danych statystycznych czytelnictwa przy określaniu miary postępowości społeczeństwa polskiego i rosyjskiego na Ukrainie, to by to zestawienie wypadło na niekorzyść Polaków. Wtedy bowiem gdy organ reakcyjny „Kijewlanin" chyli się do upadku i zmniejsza ilość drukowanych egzemplarzy, gdy organ „październikowców", „Nowyj Wiek" zgasł po miesięcznym życiu dla braku środków materjalnych, a jednocześnie postępowe „Kijewskaja Zaria" i „Kijewskije Otkliki" cieszą się powodzeniem (pierwsze z wymienionych pism liczy dziś prenumeratorów na dziesiątki tysięcy), —pismo polskie postępowe upadło.

Wprawdzie niepodobna wydawać sądu na tej tylko podstawie. Faktycznie bowiem demokratyzm polski na Ukrainie reprezentuje, naturalnie, nie „ziemiaństwo". Liczne zastępy robotników polskich (w części wychodźców z Królestwa, poszukujących pracy na obczyźnie,— a w części stałych mieszkańców Ukrainy) idą w szeregach proletarjatu miejskiego i w jego walce o lepszą dolę udział czynny biorą. Młodzież porzuca stanowisko klasowe, wyznaczone jej przez burżuazyjne pochodzenie, i niesie mu swe siły i swoje życie w ofierze społeczeństwu. Wreszcie obecnie budzić się poczyna właściwy demokratyzm polski na wsi; a jako objaw tego można zaznaczyć chociażby świeżo powstałe „Stowarzyszenie pracowników i oficjalistów rolnych", które, jak przypuszczać można, połączy i zjednoczy w przyszłości rzesze pracowników fabrycznych i urzędników zarządów majątków ziemskich. Przedewszystkiem zaś uświadomi ono tej warstwie ludzi ich interesy klasowe i wytknie drogę pracy społecznej.

Ale do tej kwestji powrócimy jeszcze w przyszłości.

Witold Zabłocki.

Anarchizm w obecnym ruchu społeczno-politycznym w Rosji.

(Ciąg dalszy).

Inne nieco poglądy wypowiada Malato: według niego socjalizm będzie formą przejściową do anarchizmu, po zwycięstwie jednak tego ostatniego w pewnych państwach potrzeba będzie zorganizować obronę nowego porządku, co pociągnie za sobą konieczność pewnej właściwości wojskowej i innej niż obecna, wymagającej jednak istnienia — wodzów.

Zdaniem Malaty, po rewolucji, zaprowadzającej nowy porządek rzeczy, wymiana towarów podlegać będzie musiała pewnej reglamentacji. Wogóle pisarz ten skłonny jest do niejakich kompromisów i poglądy jego nie mają tego bezwzględnego charakteru, co innych apostołów anarchizmu.

Holenderski anarchista Cornelissen różni się znacznie od anarchistów - doktrynerów i jest właściwie głównym teoretykiem nowego kierunku. Widzi on punkt ciężkości ruchu w związkach robotniczych, i ich akcji ekonomicznej przeciwko kapitalistom. Zdaniem jego wywłaszczenie tych ostatnich odbędzie się w ten sposób, że, ustępując ciągle klasie robotniczej — w końcu nie będą mogli bez strat prowadzić dalej swych przedsiębiorstw. Wielki kryzys ekonomiczny, strejk powszechny i brak pracy, — oto przyczyny, które wywołają rewolucję socjalną.

Cornelissen uważa słusznie, że Kropotkin jest optymistą, sądząc, że po zwycieskiej rewolucji komunizm anarchistyczny zdoła w całej pełni zatryumfować w swej czystej formie. Cornelissen przypuszcza potrzebę stworzenia komitetu, regulującego produkcję; uznaje też ko-

nieczność rozstrzygania spraw w związkach produkcyjnych przez większość. Mniejszość niezadowolona może ustąpić i przyłączyć się do innych związków, albo utworzyć nowy. Decyzja większości powinna jednak obowiązywać. Jest to więc odstępstwo od zasad czystego anarchizmu.

Cornellissen sądzi też, że w pierwszych czasach po przewrocie społecznym czysty komunizm nie da się wprowadzić, i że ludzie wynagradzani będą w stosunku do swej pracy. Wogóle pisarz ten przypuszcza w przyszłym ustroju społecznym istnienie przeżytków. Krytykując wogóle państwo i jego reformy, robi pewne wyjątki dla prawodawstwa fabrycznego, oświaty, kultury i t. d. Uważa on, iż wiele wieków trzeba będzie, zanim ustrój komunistyczno-anarchistyczny utrwali się i rozwinie całkowicie.

W przeciwstawieniu do innych anarchistów jest Cornelissen zdecydowanym przeciwnikiem drobnych chłopów—właścicieli; nie wydają mu się oni zdolni przejść do wyższego ustroju społecznego przez zrzeszenie się, sądzi też, że dopiero po wywłaszczeniu przez rozwój ekonomiczny staną się zwolennikami nowego ustroju społecznego.

Wymieniłem tu różnych pisarzy—teoretyków anarchizmu, aby wykazać, że nawet w okresie, kiedy ideje komunistyczne wzięły w nim stanowczą przewagę, nie jest kierunkiem jednolitym.

Przechodząc od pisarzy anarchistycznych do samego ruchu, wypadnie mi scharakteryzować w kilku słowach główne jego kierunki, nie mogąc oczywiście mówić o wszystkich odcieniach.

Pierwszy, którego teoretykami byli i po części są Kropotkin, Reclus i Grave, był jeszcze przed kilku laty przeważający. Jego zwolennicy koncentrowali działalność swą przedewszystkiem na propagandzie zasad anarchistycznych; do teroru, uprawianego na prawo i lewo na przeciętnych przedstawicieli burżuazji i rządu nie przywiązywali żadnej wagi, uznając tylko użyteczność zamachów, skierowanych na osoby szczególnie z ich punktu widzenia szkodliwe.

Przedstawiciele tego kierunku byli i są rewolucjonistami, do wybuchu chcą się przygotować i są przeciwni przedwczesnym i niepewnym przedsięwzięciom. Uznają doniosłość strejku generalnego, ale nie koncentrują w nim głównych nadziei rewolucyjnych. Niektórzy zalecają też tworzenie kolonji anarchistycznych. Potępiają wszyscy kradzież, jako środek propagandy i agitacji, oraz jako fragment ogólnej ekspropriacji. Grave mówi o tem mniej więcej tak: każdy ma prawo do życia, i może konieczne po temu środki zabrać temu, kto je posiada; ale powinien to zrobić jawnie, wtedy nie jest to już złodziejstwo, ale akt wywłaszczenia rewolucyjnego. Kradzież zaś odbywać się musi przy pomocy różnych oszustw i wykrętów, paczących charakter. Zaczyna się od okradania burżujów, a kończy się na okradaniu tych, których okraść jest łatwiej.

Kierunek ten przeciwny jest wszelkim formom władzy w przyszłym ustroju.

Drugi kierunek, skrajny pod względem sposobów walki, uznaje i zaleca tępienie wogóle przedstawicieli klas panujących i rządu, bez względu na ich rolę osobistą w życiu społeczno-politycznem. Do tego kierunku należeli zabójcy cesarzowej austryjackiej Elżbiety, oraz ci wszyscy, co rzucali bomby do miejs publicznych, nie na jakieś osobistości wybitnie, z punktu ich widzenia, szkodliwe, lecz dla protestu wobec dzisiejszego społeczeństwa. Kierunek ten zaleca także kradzież, uznając ją za czyn rewolucyjny, za wstęp do ogólnej ekspropriacji.

Przedstawiciele skrajnego anarchizmu często są wrogo usposobieni względem przedstawicieli poprzedniego. Przed laty 20 w jednym ze swych świstków z nieprawością pisali o Kropotkinie i Reclus, nazywając ich papieżami i przepowiadając śmierć gwałtowną, spowodowaną przez zamach.

Wreszcie trzeci kierunek jest kompromisowy. Najdokładniejszym teoretycznym jego wyrazicielem jest Cornelissen. Kierunek ten uznaje organizacje robotnicze, zasadę większości, gotów też jest do pewnych niedużych kompromisów z zasadą władzy dla kierowania rewolucją i ustalenia jej wyników. Odrzuca jednak stanowczo parlamentaryzm i wykończoną organizację państwową. Dotąd sformułował wyraźnie swe poglądy tylko w kwestji związków zawodowych.

Oprócz anarchistów - komunistów są jeszcze anarchiści-indywidualiści, jak np. Tucker w Ameryce, naogół jednak stanowiący wyjątki.

Jaka jest geneza ruchu anarchistycznego wogóle? Aby na pytanie to odpowiedzieć w sposób zadawalający, trzeba rozłożyć je na kilka zagadnień. A więc należy zbadać przyczyny powstania anarchizmu indywidualistycznego i komunistycznego; doktryn i ruchu, obejmującego szersze koła.

Rozwój społeczny ze swym podziałem pracy, krzyżowaniem się różnorodnych prądów wszechświatowych, rozrostem nauki, literatury i t. p. wyzwolił jednostkę ludzką z pęt tradycji i wpływów najbliższego otoczenia; rozbudził w niej popęd do indywidualizmu.

Ten ostatni przyjmował najróżnorodniejsze formy. Anarchizm indywidualistyczny był jego najkrańcowszym wyrazem.

Rozwój kapitalizmu, prowadzący do zależności ekonomicznej, i, co zatem idzie, i innej wielkich mas ludności od garstki uprzywiljowanych, wykazał dowodnie indywidualistom, że niezależność jednostki ludzkiej osiągniętą być może tylko na drodze zasadniczych reform społecznych, z gruntu zmieniających ustrój obecny. Tem się też objaśnia przeobrażenie się anarchizmu indywidualistycznego w komunistyczny.

Naogół jednak ideja absolutnej bezpaństwowości, i bezwładzy — anarchja, z natury rzeczy zajmować mogła i zajmowała tylko pojedyńcze jednostki o silnie rozwiniętym indywidualizmie. Jednostki takie, nie stanowiąc masy, nie mogły stworzyć ruchu anarchistycznego; powstał on z innych przyczyn. Nie krańcowy indywidualizm, nie antypaństwowe doktrynerstwo było jego źródłem, lecz zgoła co innego.

Współczesna klasa robotnicza nie jest jednolita; z łatwością dostrzegamy w niej trzy warstwy: pierwsze, robotników wykwalifikowanych, dobrze płatnych, stanowiących jakgdyby arystokrację pracowników; drugą, przeciętnych robotników, mających zajęcie stałe, pobie-

rających średnią płacę; wreszcie — trzecią, pracowników bez zajęcia, lub mających je tylko od czasu do czasu, źle płatnych rozbitków losu; do kategorji tej należy proletarjat inteligencji, a raczej jego najbiedniejsza część.

Wyrazem dążeń robotników pierwszej kategorji jest trade-unionizm; drugiej — socjal-demokratyzm; trzeciej wreszcie anarchizm.

Robotnicy wykwalifikowani mogą bez specjalnej interwencji państwa, przy dzisiejszym ustroju społecznym dojść do względnie wysokiego dobrobytu, tworząc potężne związki zawodowe; robotnicy drugiej kategorji nie mogą już osiągnąć znośnego losu drogą samych związków, pomoc państwowa jest dla nich konieczna; ideał ich przekracza granice ustroju kapitalistycznego i prowadzi w szeregi socjalnej-demokracji; wreszcie robotnicy trzeciej kategorji są w tak okropnem położeniu, że droga reform stopniowych, idąca równolegle do rozwoju społecznego — nie może im się uśmiechać, potrzebują oni bowiem ratunku natychmiastowego, nie w postaci skrócenia dnia roboczego, albo podwyższenia pracy, gdyż nie mają oni stałego zajęcia. Dla nich ratunek możliwy jest tylko na drodze raptownego przewrotu społecznego, którego bezpośrednim celem jest komunizm. Naczelnicy partji socjal - demokratycznych, już to z powodu stanowiska względnie uprzywiljowanego, już to z powodu pewnych trudności natychmiastowego przewrotu społecznego — powstrzymują zwykle masy (przynajmniej w państwach ściśle i dawno konstytucyjnych) od rewolucji.

Natychmiastowe przejście do komunizmu, drogą rewolucji, przez swobodną inicjatywę jednostek i mas— oto ideał najbiedniejszej warstwy robotników fizycznych i umysłowych. Anarchizm rewolucyjno - komunistyczny obiecuje im urzeczywistnienie tego idału — lgną więc do niego.

Czy obietnice anarchizmu są ziszczalne? Nie, a to z następujących powodów:

W miarę rozwoju cywilizacji wzmagać się będzie indywidualizm jednostek t. j. uczucia ich, chcenia i poglądy różnić się będą coraz więcej. Dlatego stosunek ludzi w grupach społecznych, i grup między sobą nie będzie mógł obejść się bez minimalnej chociażby władzy państwowej i prawa pisanego z mocą obowiązującą bez zasady większości...

Tylko w społeczeństwach pierwotnych, stosunkowo małych, w których wszyscy żyją i działają razem, bez podziału pracy daleko posuniętego, — wytwarza się jednolita prawie psychologja jednostek, która czyni państwo zbytecznem. Inaczej jest w społeczeństwach zróżniczkowanych.

Widzieliśmy już, że nawet niektórzy anarchiści nie łudzili się, żeby społeczeństwo przyszłości obejść się mogło bez wszelkich pierwiastków władzy, prawa zasady większości. Skoro zaś dopuści się tylko chociażby zasadę decydowania przez większość o sprawach grup społecznych — wówczas, z nieubłaganą koniecznością powstać muszą jakieś ustawy, obowiązujące ogół — zarodki władzy, które rozwiną się z czasem.

Ale przypuściwszy nawet, że w społeczeństwie przyszłości rozwój moralny jednostek byłby niesłychanie wysoki, że nie byłoby obawy, ucisku i wyzysku jednych przez drugich, to i wtedy jeszcze same gospodarcze potrzeby społeczeństwa wysoko rozwiniętego powołałyby państwo do życia.

Dobrobyt całego społeczeństwa, potrzebny przy ustroju komunistycznym, którego pragną anarchiści, wymaga z konieczności wielkiej wydajności pracy, wielkiej produkcji, podziału pracy i scentralizowanego systemu wytwarzania bogactw. Otóż wszystko to potrzebuje niezawodnie kierownictwa, to zaś każe przypuszczać istnienie grupy ludzi z władzą kierowania, pewne hjerarstwa w organizacji wytwarzania.

Produkcja scentralizowana w żaden sposób obejść się nie może bez państwa. Wprawdzie Engels dowodzi o przyszłym ustroju, że panowanie nad ludźmi ustąpi w nim panowaniu nad rzeczami; ale to nie może oznaczać zaniku państwa we wszystkich jego formach. Rzeczy bowiem są pod zarządem ludzi, produkowane są przez nich, a zatem władza nad rzeczami oznacza też, w pewnych granicach, władzę nad ludźmi, którzy rzeczami temi się zajmują, je wytwarzają, przenoszą z miejsca na miejsce, biorą na swój użytek i t. d.

Formy państwa i władzy będą naturalnie ulegały licznym zmianom w ustroju społecznym, ale sama władza, oraz instytucje kierownicze i nadzorcze, obdarzone nią, pozostaną w tej, czy innej formie. Dlatego też błędne jest twierdzenie tych, co walcząc z anarchistami, dowodzą na podstawie kilku cytat z Engelsa, nie wnikając głębiej w ich istotne znaczenie, że przy ustroju socjalistycznym państwo wogóle zanikałoby stopniowo.

Inne szczegółowe twierdzenia anarchizmu poddam krytyce przy analizie anarchistycznej prasy rosyjskiej.

(d. c. n.).

Ludwik Kulczycki

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca *Stefan Szczawiński*. Warszawska Drukarnia Estetyczna, Wielka 25.